

SZCZĘŚLIWY

JAK

TEKST MARCIN DZIERŻANOWSKI
ZDJĘCIA MIKOŁAJ NOWACKI

SZWAJCAR

Szwajcarzy z różnych części kraju powtarzali mi, że mieszkają w raju. Postanowiłem sprawdzić, co mają na myśli

Rejs statkiem po Jeziorze Genewskim to nie tylko przyjemny, ale i szybki sposób podróżowania



W

okolicach niewielkiego wzgórza pod Asconą żyło się spokojnie aż do 1900 r. Podobnie jak w innych wsiach i miastach włoskojęzycznego kantonu

Ticino, ludzie byli tu może nie najbogatsi, ale porządni i w miarę szczęśliwi. W niedzielę chodzili do kościoła, by podziękować Najświętszej Panience za tegoroczne zbiory orzechów i wina, a po mszy ze swych glinianych *boccalino* (rodzaj tradycyjnych kubeczków do wina) popijali domowej roboty merlota zmieszanego z lemoniadą *gassosa*. I w przeciwieństwie do sąsiadów z niemieckojęzycznych kantonów Szwajcarii niezbyt przejmowali się dniem jutrzejszym.

Kiedy na początku XX w. wzgórze pod Asconą zakupił Henry Oedenkoven, 25-letni syn holenderskich bogaczy, nic nie zwiastowało, że młodzieniec wywoła tu aż taki zamęt. Ot, kolejny bogaty świr, który bredzi coś o odkryciu „najbardziej energetycznego miejsca na ziemi”. Gdy jednak Henry ściągnął do swej posiadłości bogatych znajomych z Europy i ogłosił powstanie komuny o nazwie „Monte Verità”, wybuchł skandal. Do tego doszły plotki, że mieszkańcy chodzą bez ubrań, nie jedzą mięsa, w dodatku sypiają ze sobą w dowolnych konfiguracjach. Nazwano ich *balabiott*, czyli „nadzy tancerze”.

– Opowieści sąsiadów wcale nie były pozbawione podstaw – mówi mi Lorenzo Sonognini, dyrektor kulturalno-rekreacyj-

nego ośrodka Monte Verità, które mieści się dziś w tym miejscu. – Bez cienia przesady można powiedzieć, że to właśnie tutaj znajduje się kolebka światowego nudyzmu, wegetarianizmu, a nawet ruchu hipisowskiego i New Age. Ameryka miała swoje dzieci kwiaty, my ponad pół wieku wcześniej mieliśmy „nagich tancerzy – uśmiecha się Sonognini. I pokazuje mi zachowane pamiątki po prekursorach szalonej wolności: fragmenty sprzętów do ćwiczeń gimnastycznych, prysznic pod gołym niebem, domki, w których mieszkali członkowie dziwnej sekty, wreszcie jedyną w Europie plantację herbaty.

Wkrótce sława Wzgórza Prawdy przekroczyła granicę Ascony, a nawet kantonu Ticino. Do „słonecznego sanatorium” zaczęli przyjeżdżać znani buntownicy początku wieku, m.in. pisarz Hermann Hesse, psychoanalityk Carl Jung czy dadaista Hugo Ball. – A pierwotnie zgorszeni mieszkańcy okolic zwierzyli w całym zamieszaniu interes. Niedaleko osady zbudowali hotel, którego główną atrakcją była możliwość podglądania z okien nudystów. – Taki pierwszy w Europie peep-show – śmieje się Sonognini. Dziś na wzgórzu znajduje się hotel w stylu Bauhaus i muzeum, w którym można zobaczyć stare zdjęcia komuny. – W naszym dialekcie do teraz istnieje też słowo *balabiott*. Matki nazywają tak nastoletnie dzieci, które nie chcą się uczyć ani pracować – dodaje dyrektor, częstując mnie merlotem zmieszanym *gassosą*. Na szczęście ulubiony drink mieszkańców Ticino nie zmienił się od czasu Henry’ego.

Szwajcarski kanton Ticino od zawsze kojarzył się z rajem

– tłumaczy mi Patricia Carminati, moja przewodniczka po regionie. Chcesz? Pokażę ci inną utopię, nie mniej ciekawą – zachęca, prowadząc mnie do znajdującego się na tym samym wzgórzu Sanktuarium Sztuki Elisarion. Stworzył je pochodzący z Tallina malarz i poeta Elisar von Kupffer oraz jego życiowy partner filozof Eduard von Mayer. Założyli oni mistyczno-artystyczny ruch religijny o nazwie Klarismus („Jasność”), który skupiał głównie gejów i lesbijki. Może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że grupa działała w latach 20. ubiegłego wieku, w czasach kiedy niemal w całej Europie za kontakty homoseksualne wsadzało się ludzi do więzień. Niedawno namalowane przez Elisara freski przeniesiono z jego willi nad pobliskim jeziorem Maggiore na Monte Verità. Wyglądają dziwnie – coś w rodzaju mieszanki kościelnej polichromii i gejowskiego soft porno. – Mogło to powstać tylko w Szwajcarii – opowiada Patricia.

W Europie wielu nadal twierdzi, że jesteście europejską oazą szczęścia. Zgadzasz się?

– Dla mnie raj to Szwajcaria włoskojęzyczna. To prawda, żyjemy biedniej niż w innych częściach kraju. Ale jesteśmy najbardziej radośni! Wiesz, że mamy tu w roku 15 dni wolnych od pracy? – uśmiecha się Patricia. – W niemieckojęzycznych kantonach tylko osiem, czasami dziesięć. I to nasze *dolce vita!* Do tego świetna kuchnia, polecam ci polentę z królikiem.

Zabiera mnie na mały rejs statkiem po otoczonym Alpami jeziorze Lugano. Przybliżamy do pięknej miejscowości, która

jeszcze w XVIII w. nazywała się Calprino i była małą wioską rybacką. Kiedy dwa wieki temu zaczęli tu przyjeżdżać turyści z Anglii i Szkocji, miejsce nazwali Paradiso. Sto lat temu władze kantonu zatwierdziły nową nazwę jako oficjalną.

Jak się pani żyje w najszczęśliwszym kraju Europy?

– pytam z kolei Corrine Seiler, emerytowaną historyk sztuki w Bernie. To miasto jest nieformalną stolicą Szwajcarii. Formalnej nie ma, tu jest tylko siedziba władz konfederacji. Mimo to 130-tysięczne miasto ma kameralny charakter. – Mówi pan o Szwajcarii? Cóż, nasza niemieckojęzyczna część jest zdecydowanie najszczęśliwsza! – z dumą zachwala swój region. – Moim zdaniem właśnie Berno jest kwintesencją szwajcarskości – dodaje.

Corrine, mimo zaawansowanego wieku, może się pochwalić świetną formą. Dlatego proponuje, że pokaże mi miasto z perspektywy hulajnogi. To nowy sposób promocji Berna wspierany przez lokalne władze. Pojazdy można wypożyczyć m.in. na głównym dworcu kolejowym.

Dziwię się, że podróżowanie na tym dziwnym sprzęcie idzie mi tak łatwo. Może to urok tutejszej starówki wpisanej w 1983 r. na listę światowego dziedzictwa UNESCO? W jej sercu wznosi się późnogotycka katedra św. Wincentego z najwyższą kościelną wieżą w kraju. Ale i tak od 500 lat miastem rządzi zegar na średniowiecznej bramie miejskiej zwanej Zytglogge. – Chce pan zrozumieć naszą mentalność? Pokażę panu ten zegar od środka – mówi Corrine. Od kilkudziesięciu lat ma uprawnienia przewodniczki, a wraz z nimi – klucze do zegarowej wieży. Wchodzimy po XIII-wiecznych schodach, które kiedyś prowadziły do mieszczącej się tu strażnicy przerobionej później na więzienie,

a następnie archiwum. Niezmienny pozostał jedynie geniusz konstrukcji gigantycznego zegara. Z precyzją w głosie i nauczycielską wskazówką w ręku pani Seiler długo tłumaczy mi zasady działania mechanizmu. Szczerze mówiąc, niewiele z tego rozumiem, gdyż z techniczną wyobraźnią u mnie na bakier. Mechanizm pokazuje aktualną fazę księżyca, porę roku i znak

W Bernie sztuka wychodzi na ulicę – i to dosłownie. Na zdjęciu niżej: Z perspektywy sklepowej witryny widzowie oglądają spektakl odgrywany w miejskiej przestrzeni. Na sąsiedniej stronie: Berneńskie Einstein Museum słusznie uchodzi za najlepsze biograficzne muzeum na świecie

W pograżonej kryzysem Europie jesteśmy jak wyspa szczęścia. Czasem się nawet boimy, że żyjemy w zbyt dostatnym i pięknym kraju





zodiaku, w którym znajduje się właśnie słońce. Cztery minuty przed każdą pełną godziną zaczynają się poruszać widoczne z ziemi figurki: kogut, bóg czasu Chronos oraz niedźwiedź. – Dlaczego niedźwiedź? – pytam Corrine i widzę na sobie jej surowy wzrok. – O tym później, teraz o mechanizmie – mówi uprzejmie, acz stanowczo. – Dla mnie ten zegar jest właśnie uosobieniem mojego państwa. Świetnie zorganizowanego, w którym wszystko działa jak należy. Lubię rodaków z francuskojęzycznej i włoskojęzycznej części tego kraju, ale – nie oszukujmy się – w ich kantonach czujemy się trochę jak za granicą. U nas bije serce Szwajcarii – mówi z dumą. – I to my mamy najbardziej szwajcarskie danie, jakim jest ziemniaczane rösti. Solidne jak nasze społeczeństwo – dodaje.

Ci włoskojęzyczni mówią o was, że jesteście trochę sztywni

– rzucam prowokacyjnie. – Tak? A widział pan u nich starszą panią na hulajnodze? – pyta z uśmiechem, pokazując na siebie. I prowadzi mnie pod XIX-wieczny budynek Bundeshaus, jedynego parlamentu w Europie, do którego może wejść każdy z ulicy. Na zewnątrz zero ochrony – aż trudno uwierzyć, że to siedziba władz najbogatszego kraju w Europie. Na placu przed budynkiem fontanna złożona z 26 wodotrysków – dokładnie tylu, ile jest kantonów. Każdy rząd kantonalny co roku wnosi opłatę za swoją część zużytej wody. – Porządek musi być – zauważa moja przewodniczka. No tak, w końcu jestem w Szwajcarii!

Zdjęcie poniżej: berneńska restauracja Kornhauskeller uznana jest za narodowy pomnik historii. Wieczorami muzyka na żywo. O każdej porze dnia – świetne dania tradycyjnej kuchni. Na sąsiedniej stronie: Bellinzona, stolica włoskojęzycznego kantonu Ticino, strzegą trzy średniowieczne zamki. W 2000 r. wpisano je na listę światowego dziedzictwa UNESCO

Porządek obowiązuje też w serwowaniu wiedzy o Bernie. Był czas na wykład o zegarze, teraz kolej na niedźwiedzia. Miasto założył w 1191 r. książę Bertold V, który podczas polowania miał ustrzelić tutaj misia. Według legendy to on nadał miejscowości nazwę pochodzącą od niemieckiego słowa *Bär*, czyli właśnie niedźwiedź. Na dowód obok mostu Nydeggrücke nad rzeką Aare trzymane są te zwierzęta. Tradycja ich hodowli sięga lat 50. XIX w., ale kilka lat temu niezbyt wygodny wybieg zmodernizowano. Dziś para drapieżników: Björk i Finn, mają do dyspozycji 6 tys. m²! – Nawet one znalazły tu swój raj! – chwali się Corrine.

Jeśli szukasz wewnętrznego spokoju, jedź do szwajcarskiego Montreux. Dla mnie to raj na ziemi

– cytatem z legendarnego wokalisty zespołu Queen Freddiego Mercury'ego wita mnie we francuskojęzycznej części Szwajcarii Dagmar Blom ze lokalnej organizacji turystycznej. Nie zdążyłem jej nawet zapytać, gdzie w tym kraju jest najpiękniej i najbardziej szwajcarsko. Sama mówi, że w jej regionie, czyli we francuskojęzycznych miastach nad Jeziorem Genewskim.

Słowa Mercury'ego nie były kurtuazją. Ostatnie lata życia spędził właśnie w Montreux, a po śmierci jego prochy rozsypano nad okolicą. Żeby nie było wątpliwości, że artysta trafił do raju. Dziś jego pomnik stoi na promenadzie w najbardziej reprezentacyjnej części miasta. Artysta spogląda na jezioro – ma ono



